

Tadeusz Komendant

Moje podróże z Ryszardem Matuszewskim

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 36, 135-138

2001

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Komendant

MOJE PODRÓŻE Z RYSZARDEM MATUSZEWSKIM

I. Tadeusza Żenczykowskiego¹ – późniejszego pracownika Wolnej Europy i autora opracowań dotyczących okresu formowania się władz komunistycznych w Polsce – poznał Ryszard Matuszewski jeszcze przed wojną, w czasie studiów, wśród ideologów ZPMD; odwiedził go w 1995 roku w Londynie. Bolesławowi Wierzbiańskiemu – po wojnie redaktorowi „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku – którego niespodziewanie spotkał w r. 1933 w Pradze czeskiej, gdy wracał z Węgier, zawdzięcza „impuls do zorganizowania sobie w następnych latach pierwszych samodzielnych wyjazdów za granicę”; spotkał się z nim dopiero po półwieczu, w roku 1986, w nowojorskiej redakcji „Nowego Dziennika”. Był wówczas – „dzięki Zdzisłowi Jeziorańskiemu” – gościem Departamentu Stanu. Przy harcerstwie trzymała go „perspektywa wyjazdu na Jamboree, międzynarodowy zlot skautów na Węgrzech”. W czasie zdobywania kolejnej harcerskiej sprawności poznał Igora Szewczenkę; po wojnie okazało się, „że Igor żyje, jest wybitnym znawcą sztuki bizantyjskiej i wykłada w USA na Uniwersytecie Harvarda”; spotykał się z nim w czasie wyjazdów do Stanów Zjednoczonych w latach 1979 i 1986, a później w Londynie. U ojca Jasia Czarskiego – innego kolegi z harcerstwa – spędził tydzień w r. 1946 w Londynie, znalazłszy się tam z wycieczką dziennikarzy z Polski. Później sam Janek zaczął przyjeżdżać do Polski, „co stało się ostatnio okazją do niemal do rocznych naszych spotkań, a także i mojej wizyty u niego w hrabstwie Kent”. Na węgierskie Jamboree wybrał się z obozem wędrownym, którego trasę sam obmyślił. „Składała się ona z trzech odcinków. Wędrówkę rozpoczęliśmy od malowniczego Krzemieńca, by przewędrowawszy pieszko pasmo wzgórz dzielących płytę podolską od Wołynia, oglądając po drodze takie miejscowości jak Poczajów ze słynnym klasztorem prawosławnym..., Podhorce (piękny, późnorenesansowy zamek Koniecpolskich, następnie Jakuba Sobieskiego), Olesko – dotrzeć, już koleją, do Lwowa, a po zwiedzeniu tego miasta, wsiąść znów w pociąg i rozpocząć drugi odcinek pieszej wędrówki w Worochcie. Przemierzywszy cały główny grzbiet Czarno-

hory z takimi szczytami jak Howerla i Pop Iwan, zesłiśmy w dolinę Czeremoszu (Żabie, Kosów, Kuty), nie pamiętam już, z jakiej stacji kolejowej dojechaliśmy do Zaleszczyk, stamtąd zaś – też przy pomocy jakichś lokalnych połączeń kolejowych – dotarliśmy na miejsce stałego obozu »trójki« w szerokim zakolu Dniestru pod Niżniowem». Trasa powrotna z Jamboree wiodła przez słowacką Nitrę, „gdzie właśnie odbywały się wielkie uroczystości 900-lecia tamtejszego biskupstwa. Pół dnia spędziłyśmy na rozprażonym placu przed starą katedrą, gdzie odbyła się msza polowa. Potem zwiedziliśmy Bratisławę, Brno i Pragę”.

W 1934 – zainspirowany spotkaniem z Wierzbiańskim, o którym już była mowa – Ryszard Matuszewski wyjeżdża znów na Węgry. „Wiedziony ciekawością świata” postanawia jechać przez Wiedeń, a z Wiednia statkiem po Dunaju. Zarobione na fikcyjnej posiadce prawdziwe węgierskie pieniądze wydaje na zwiedzanie Jugosławii: najpierw jedzie do Zagrzebia, stamtąd do Lublany i nad jezioro Bled, a potem nad Adriatyk. Płynie statkiem, który zatrzymuje się w Szybeniku, Splicie i wreszcie w Dubrowniku, który wydaje mu się prawdziwym rajem. Po tej wyprawie czuje się „wytrawnym globtrotterem”.

W 1935 roku wyrusza w podróż do Paryża, który widział już 10 lat temu z matką i wybiera trasę przez Berlin, Kolonię i Brukselę. W każdym z tych miast postanawia zatrzymać się, by je zwiedzić. W pociągu między Kolonią a Brukselą zawiera znajomość z dwiema panienkami, dzięki którym zwiedza Belgię: następną podróż do niej będzie mógł odbyć dopiero w 23 lata później, na EXPO 1958. Dociera do Paryża, ale wyprawy do Wersalu i Fontainebleau nie nasycają jego pasji turystycznych, postanawia jechać na południe Francji i dociera do Lourdes, gdzie – ponieważ jest turystą, a nie pielgrzymem – nie widzi cudu, jak to Najświętsza Panienska o północy schodzi ze skały i robi siusiu...

Ostatnie studenckie wakacje spędza na spływie kajakowym. „Popłynęliśmy Szczarą od Słonimia, a potem Niemnem, mijając po drodze upamiętnione przez Orzeszkową Bohatyrowicze oraz znajome mi już – dzięki wyprawie z ojcem – Grodno. Najsilniejsze wrażenie zrobił na mnie jednak Kanał Augustowski, który przepłynęliśmy od Niemna po Augustów, zbaczając jeszcze po drodze nad jezioro Serwy i transportując stamtąd, utartym szlakiem, kajaki nad Wigry, by wrócić z nich na kanał Czarną Hańczę.”

Po wyjściu z podchorążówki zatrudnia się w międzynarodowym biurze podróży Wagons – Lits / Cook; praca ta dawała mu prawo do skorzystania raz na miesiąc z biletu wolnej jazdy na wszystkie linie PKP. Zwiedza dzięki temu Gdańsk i Kraków. Po ślubie jedzie z żoną do Bukowiny Tatrzańskiej. „Od początku mego związku z Beatą pragnąłem wprowadzić ją we wszystko, co tworzyło klimat mego życia, a zwłaszcza w to, z czego brałem najwięcej radości. Byłem przekonany, że poprowadzenie jej w moje ukochane Tatry sprawi jej tę samą przyjemność, co

mnie, kiedyśmy z Jankiem [Kottem] – sześć lat wcześniej – zdobywali razem wszystkie tatrzańskie szczyty.” Okazało się jednak, że nie wszyscy lubią przecho-
dzić Orlą Perć...

Co stanowiło klimat jego życia? Bez wątpienia literatura i spotkania z pisarzami. Mam jednak pewność, że najwięcej radości brał z podróżowania.

2. To, co napisałem przed chwilą, przytoczyłem za wspomnieniową książką Ryszarda Matuszewskiego *Chmury na pogodnym niebie*. Zamyka się ona na latach przedwojennych. Ale przecież Ryszard Matuszewski podróżował i po wojnie – częściowo dzięki zawartym w młodości przyjaźniom, częścię jako uczestnik różnych pisarskich delegacji. Na przykład tak:

Centrum starego Rzymu. Płatanina wąskich, ciasno obudowanych uliczek. Do niewielkiego Piazza Rotonda, którego środek wypełnia potężny masyw Panteonu, przylega mniejszy, nieforemny placyk: Piazza Minerva. Stojący tu kościół Santa Maria sopra Minerva nosi tę nazwę dlatego, że wzniesiono go na gruzach dawnej świątyni bogini rzymskiej. Pośrodku placyku osobliwy pomnik: biały marmurowy słoń dłuta Berniniego dźwiga na grzbiecie egipski obelisk z hieroglifami.

Kiedy nas tu ulokowano w hotelu Minerva po przyjeździe na kongres COMES (Comunita Europea degli Scrittori – Europejska Wspólnota Pisarzy) w roku 1965, nie wiedziałem jeszcze ani tego, że Jarosław Iwaszkiewicz, który był wtedy przewodniczącym polskiej delegacji, stale zatrzymuje się tam będąc w Rzymie, ani tego, że będzie to moje jedyne faktyczne spotkanie z Jarosławem, okaza nie tylko do wielu razem spędzonych godzin na nudnym kongresie, ale i do uroczych wspólnych chwil w zaułkach starego Rzymu oraz spaceru na Awentyn. Nikt od Jarosława nie mógł być lepszym i miłszym przewodnikiem po Wiecznym Mieście².

Kongresy na ogół bywają nudne, wyrwane kongresowi chwile spędzane w pięknym mieście są uroczne. Wygłaszane na kongresie przemówienia i homilie często są mało ważne, ważniejsze są osobiste kontakty i zwiedzanie nowych miejsc. Szczególnie gdy ma się tak dobrego i miłego przewodnika jak Jarosław Iwaszkiewicz. Tylko jeden raz rzeczywisty, ale wielokrotnie – lekturowy.

Ryszard Matuszewski opisał swoje włoskie spotkania z Iwaszkiewiczem i wydał w pięknej książeczce *Przeleciał anioł cały purpurowy*. To, nie waham się stwierdzić, jedna z jego najważniejszych książek. Udało mu się w niej połączyć swoje dwie pasje: aktywnego czytelnika literatury, dzięki której jest znany publicznie, i drugą, prywatną, o której mało kto wie: pasję podróżnika. Bo jego podróże były (i są) zarówno poznawaniem nowych miejsc, naoicznym zetknięciem się z arcydziełami malarstwa i architektury, jak i lekturą opisanych przez poprzedników podróży, których śladami podąża krytyk. Dlatego w każdą podróż wybiera się nie tylko otwarty na nowe wrażenia, ale również z bagażem książek. Dlatego do Włoch zabiera tomy Iwaszkiewicza i jego oczyma patrzy (czy stara się patrzeć) na malarstwo włoskie. Sam zresztą wyznaje: „Po lekturze *Podróży do Włoch* wę-

drowałem więc po wszystkich tych rzymskich kościołach i muzeach, gdzie wiszą obrazy Caravaggia, i przypominałem sobie, co autor *Podróży do Włoch* o nich napisał”.

Ryszard Matuszewski **zwiedza** teksty i **czyta** miejsca. O tym pierwszym wie każdy, kto czytał jego książki. Realizują one strategię podróżnika, dlatego wiele w nich zachwytu od pierwszego wejrzenia, czasem nieuzasadnionych idiosynkrazji, wędrówki po utartych szlakach i czapkowania przed uznanymi wielkościami (każdy choć raz w życiu musi ruszyć z pielgrzymką do Mona Lizy), ale również sporo błąkania się po zakamarkach z dala od utartych ścieżek. Co najważniejsze jednak, teksty owe próbują ułożyć się w opis pewnej obowiązkowej trasy do przebycia, bedeker na użytek poznających literaturę współczesną (stąd pewnie podróżniczkowe pasje autora).

O tym drugim – że Ryszard Matuszewski czyta miejsca – mogłem przekonać się sam w trakcie paru wspólnych wyjazdów turystyczno-konferencyjnych. Błądziliśmy bowiem razem w poszukiwaniu domu Marii Danilewicz-Zielińskiej i poznawaliśmy smak *vinho verde* w małej lizbońskiej knajpcie. Z kolei po drodze do Bari (jechaliśmy pociągiem) Ryszard Matuszewski czytał Iwaszkiewicza i Piovenego; to nic, że Bari okazało się tylko stacją przesiadkową i zawieziono nas stamtąd nad Morze Jońskie. Nie zapomnę wspólnej wycieczki do Matery i jej urbanistycznych pejzaży rodem z *Piekle* Dantego (nikt z międzynarodowych krytyków, mimo że byliśmy tak blisko, nie zdecydował się na tę wyprawę). Przypominam sobie spacer po Neapolu, oglądanie Caravaggia i włoskich prymitywów, a później literacką wycieczkę na Capri do willi Axela Munte i domu Gorkiego. I całkiem niedawną podróż do Nancy, miasta Stanisława Leszczyńskiego.

We wszystkich tych wyprawach towarzyszyły Ryszardowi Matuszewskiemu książki i wspomnienia lektur. Oraz nieodłączny sznurek, nieustannie miętoszony w ręce. Kiedy raz zapytałem go, po co mu ten sznurek, spojrział na mnie z wyrzutem i odpowiedział:

– Po co? Przecież nanizuję na niego poetów czterech pokoleń.

Przypisy:

¹ Wszystkie informacje i cytaty z: Ryszard Matuszewski, *Chmury na pogodnym niebie*, Warszawa – Nadarzyn 1998.

² Ryszard Matuszewski, *Przyleciał anioł cały malinowy*, Warszawa 1995, s. 5–6.